

TEATR WYBRZEŻE
W GDAŃSKU

Koło Sprawy Bożej

tekst, dramaturgia

Konrad Heteł

reżyseria

Radek Stepien

scenografia

Konrad Heteł,

Paweł Paciorek

kostiumy

Aleksandra

Harasimowicz

światła

Klaudyna Schubert

muzyka

Bartosz Dziadosz

premiera

14 października 2022

Scena zbiorowa



foto: Krzysztof Bieleński / Teatr Wybrzeże w Gdańsku

Upaleni

AUTOR: JAROSŁAW ZALESIŃSKI

***Koło Sprawy Bożej* z Teatru Wybrzeże** to spektakl o duchowym uwiedzeniu, które rozegrać może się zawsze. Sztuka stawia nas przed pytaniem, co sprawia, że ludzie oddają władzę nad sobą różnej maści hochsztaplerom.

■ „Słowacki jak żywy” – pomyślałem, gdy Paweł Pogorzałek, grający w tym przedstawieniu autora *Beniowskiego*, wychylił głowę z zasczenia. Ta fryzura, ta pociągła twarz, przenikliwe spojrzenie, wąskie usta... Gdy zaś aktor wszedł na scenę, można było się przekonać, że stylizacja na Juliusza Słowackiego, modnisi i dandysa, jest kompletna, od stóp do głów, od rozchylonej na piersiach białej koszuli po czarne, błyszczące lakierki, którymi Słowacki, założywszy nogę na nogę, delikatnie kołysze do taktu swoich przemów.

Nie tylko Słowacki jest tu jak z konterfektu, i do tego mówi zdaniami z własnych dzieł (na przykład opowiada o swojej nocy u Grobu Pańskiego w Jerozolimie słowami z listu do matki). Każda z postaci ma w sobie mniej czy bardziej widoczny rys pierwowzoru. Wszystkie zachowania Seweryna Goszczyńskiego (Ro-

bert Ciszewski) zdradzają, że to poeta i prosty żołnierz w jednym. Andrzej Towiański (Maciej Konopiński) unosi często podbródek, ma okrągłe druciane okulary i tak jak pierwowzór łasy jest na słodycze; Karolina Towiańska (Joanna Kreft-Baka) to chodzący posąg, z zamkniętą twarzą; Adam Mickiewicz (Michał Jaros) to porywczy i niebawale egotyczny Litwin, a jego żona, Celina Mickiewiczowa (Karolina Kowalska)... tu podobieństw jakby najmniej, bo i kostium, i zachowania kojarzą tę postać raczej ze współczesną młodą kobietą. Uznana za wariatkę, zamykana w szpitalach psychiatrycznych, tak naprawdę choruje z miłości do Adama, bałwochwalczo go wielbiąc, wciąż żebrząc o jego uwagę, czułość, bliskość, wciąż w tym raniona i upokarzana. Narkotycznie potrzebując bliskości, szuka jej nawet w przybitym do belki małym krucyfiksie.

Takie kobiety jeszcze za Freuda leczono z histerii. Dzisiaj nikt by już o tym nie pomyślał, ale wtedy...

Bohaterowie spotykają się na stryżku, w kwaterze zajmowanej przez Goszczyńskiego. To wąska przestrzeń zbita z desek, ze skośnym drewnianym dachem, podpartym drewnianymi słupami, z cichuteńkim gruchaniem gołębi w tle i dobiegającym gdzieś z daleka, przez jedyne okno, biciem paryskich dzwonów. Wszystko to razem ma nam dać, tak samo jak postaci, iluzję prawdziwości tego, co za chwilę się rozegra.

Mamy zapewne jesień/zimę 1842, bo Andrzej Towiański, uznany za rosyjskiego agenta, został już wydalony z kraju przez francuskie władze. Przesłał jednak jakoś do trzech poetów zapowiedź powołania ich do szczególnej misji. Gdy najpierw Karolina Towiańska,

a po niej sam Mistrz przybywają na stryszek, okazuje się, że ową misją jest rodzaj ghost-writingu: trzeba pomóc Mistrzowi, który słowem pisany posługiwał się, jak wiadomo, w stopniu umiarkowanym, w zredagowaniu słynnego listu do cara Mikołaja I. Od tego momentu pomiędzy Towiańskim i jego wyznawcami rozegra się psychomachia, biorąca natychmiast w nawias całą tak starannie budowaną iluzję opowieści „z epoki”.

Koło Sprawy Bożej to bowiem dramat o duchowym uwiedzeniu, które rozegrać może się zawsze. Sztuka stawia nas przed pytaniem, co sprawia, że ludzie oddają władzę nad sobą różnej maści hochsztaplerom. Bo że Andrzej Towiański jest hochsztaplerem – w to reżyser Radek Stępień nie pozwala nam wątpić. Wystarczy, że Mistrz, zdrożony podróżą ze Szwajcarii, zzuje wysokie buty: w skarpecie na lewej nodze ukaże się... dziura, i to pokaźna, na dwa palce. Towiańszczyzna odsłonią... Wystarczy, że rozmarzony wypalonym haszyszem (zaraz wyjaśnię, kto go tu rozprowadzał) pod rozchełstaną koszulą zacznie się leniwie drapać po brzuchu. „Umysłowy prymityw” – tak o Towiańskim napisał już Konrad Górski, i tym tropem podąża reżyser. Jakim więc cudem tak wątpliwa figura omotała takie umysłowe tuzy jak Mickiewicz, Słowacki, Goszczyński, i parę jeszcze dziesiątków polskich emigrantów w Paryżu?

Trzeba przyznać, że Towiański potrafi przemawiać z mocą, a jego list do cara, wygłoszony przez niego wprost do publiczności jak na politycznym wiecu, powoduje, że ciarki biegają po plecach. Tak aktualnie brzmią zapisane w nim panslawistyczne idee o duchowym przewodnictwie Rosji, której powinny się poddać pozostałe słowiańskie narody. Tak, Towiański ma kilka sugestywnych sztuczek, choćby znany z każdych rekolekcji „spoczynek w Duchu” (doprowadza do niego Celinę Mickiewiczową). Ale ten drapiący się po brzuchu urzędnik sądowy z pewnością nie jest żadnym Demonem, żadnym tam Mefistofešem. Już bardziej pasowałoby to do jego małżonki, którą Joanna Kreft-Baka gra, jakby to był chodzący posąg, zwykle w cieniu, z boku sceny, niby szmerzący bezgłośnie modlitwy, a tak naprawdę czujnie kontrolujący bieg wydarzeń. Ale i Towiańska ma swój dekonspirujący moment, swoją dziurę w skarpecie: na jej kamiennej twarzy pojawia się raptem lisia chytryść, gdy wspiera małżonka nieradzącego sobie z duchowym okiełznaniem trójki poetów, ogłupiałych na wieść, że mają się podpisać pod

wiernopoddańczym listem do cara. Zresztą – czy Karoliny Towiańskiej nie dekonspiruje już sam groteskowy gargantuiczny różaniec, przytroczony do pasa jej sukni? I ona, i Mistrz potrafią manipulować emocjami i myślami braci z Koła Sprawy Bożej, widzimy jednak, że to po prostu dość szczywana (choć nieprzesadnie) para carskich agentów, przebranych za mistyków. I że tajemnica uwiedzenia kryje się nie tyle w nich, w uwodzących, ile w uwodzonych.

Zwykle gdy zastanawiamy się nad tajemnicą uwiedzenia, nasz wzrok kieruje się ku reżyserom tych sytuacji, a nie ku ich ofiarom. Czy gdy czytamy na przykład o sprawie dominikana Pawła M., nie zaciekawia nas raczej ta wątpliwa postać, niż jego ofiary, których podatność na manipulację sprytnie wykorzystywał? Powodów podatności trójcy poetów na psychomanipulacje możemy doszukać się w wypalonych na deskach stryszku słowach, widnie-

re'owi...). Słowacki fachowo poinstruował zebranych braci, a nawet Celinę, jak nabić suszem fajki, po czym rozkręca się w tym przedstawieniu absolutny odlot, który jednak zamiast doprowadzić upalonych wieszczów do wiernopoddańczego hołdu, kończy się klęską całej intrygi.

Wierznął przeciw władzy Towiańskiego Słowacki, to wiemy z historii Koła Sprawy Bożej, i tak dzieje się w sztuce. Ale wierznął dzięki czemu? Po pierwsze autor *Króla-Ducha*, z powodzeniem grający na giełdzie, jest wśród tych przeduchowionych romantyków kimś w rodzaju protokapitalisty, o trzeźwość umysłu było mu więc łatwiej. Słowacki jest też jednak poetą, żywi się wyobraźnią, to dzięki niej sprowokował w haszyszowym finale sztuki pojedynek na ukrzyżowania z Mickiewiczem – nad czym nie był już w stanie zapanować „umysłowy prymityw” Towiański. Innymi słowy, przed duchowym uwiedzeniem chronić

Konrad Hetel i Radek Stępień opisują w *Kole Sprawy Bożej* nie tylko to, jak wolność można na własne życzenie utracić, ale też – jak można ją obronić.

jących tam niczym napisy na ścianach więziennej celi. Tu „bonapartystyczne sny”, tu „Finis Poloniae”, tu „Gloria Victis” i data powstania listopadowego, a na belce z przodu wypisane mistyczne „44”. Zapis klęsk, ślady daremnych marzeń, gorycz nędznej emigranckiej egzystencji. Niewiele trzeba, by zawładnąć takimi osobami opowieścią o kolumnach duchów, prowadzących w świetlaną przyszłość w metempsychicznym pochodzie. Do tego wystarczy dodać przeróżne manipulacje psychologiczne, kontrolę jednostki przez grupę (a tak naprawdę lidera), cały ten śmieszno-straszny folklor towiańszczyzny przywoływany w sztuce – i recepta na Koło Sprawy Bożej gotowa.

Po dwudziestowiecznych doświadczeniach powiedzielibyśmy może, że to sceniczna analiza Frommowskiej ucieczki od wolności. Co najciekawsze, Konrad Hetel i Radek Stępień opisują w *Kole Sprawy Bożej* nie tylko to, jak wolność można na własne życzenie utracić, ale też – jak można ją obronić. Tu pora już wyjaśnić, skąd w przedstawieniu o narodowych wieszczach wziął się haszysz. Przemycił go na stryszek Goszczyńskiego Słowacki (noszony na piersi flakonik z suszem zawdzięczał, jeśli wierzyć Hetelowi, młodemu Baudelai-

nas może „poezja”, czyli myślenie na własną rękę, coś, co można by nazwać indywidualacją. To najskuteczniejsze antidotum.

Gdy w psychomachię między Mistrzem i wieszczami wtrąca się Karolina Towiańska, za oknem nagle grzmi piorun albo na jej posągową postać skądś płynie światło. Ktoś słabego umysłu mógłby się na takie efekty nabrać. Ale światło, któremu dopiero można zaufać, pojawia się w samym finale, gdy już wyjaśni się, że cała ta awantura jedynie przyśniła się Juliuszowi. Słowacki z Goszczyńskim najzwyczajniej w świecie wychodzą na pączki do kawiarni naprzeciwko, a Goszczyński do swojej paryskiej nędzy (nawet na pączka poety nie stać) nie dorabia już mistycznych kompensat. Scena opustoszała, sceniczne reflektory przygasają, i jedynie na cybuchy fajek, zostawionych na krześle, reżyser kładzie dyskretne światło.

To chyba wskazówka, że myśleniem można się co prawda odurzyć, ale można też właśnie dzięki niemu zachować trzeźwość umysłu. Niby to oczywiste, ale opowiedziane w przedstawieniu – przemawia. Zwłaszcza że to przedstawienie tak poprowadzone, tak jednolite, z tyloma pełnokrwistymi postaciami. ■